# Rozmaitości

Dnia 18. Lipca N^er. 29. Roku 1840.

WYIMKI
Z DZIEWICY ORLEAŃSKIÉJ SZYLLERA.
TŁÓMACZENIE JANA PODOLECKIEGO.

## Z Aktu I. Scena dziewiąta.

*Król Karol. Sorela. Arcybiskup z Rajms, Diunoa*) Raul rycérz.*

*(Karol pobity we wszystkich bitwach, zagrożony buntem wojska własnego i uchwałą parlamentową; już w rozpaczy chciał uciekać za rzekę Loarę. W tem przyszła wiadomość o korzyści otrzymanéj nad Anglikami.)*

ARCYBISKUP. *(do rycérza.)*
Mów!

RAUL.
Zebraliśmy sobie
Ludu z Lotaryngii chorągwi szesnaście;
Pan rycérz Bodrykur z Wokuloru nami
Dowodził; chcieliśmy przedrzéć się ku tobie,
Lecz gdyśmy zchodzili pomiędzy wzgórzami
W dolinę Yonny Wermautonu blizko,
Patrzymy: ćmy wrogów przed nami się roją,
Obziéramy się nazad, i za nami stoją;
Ha, źle! dwa nas wojska obsaczyły wszędy,
Bić się ani sposób, uciec nié ma kędy,
Najmężniejszym serca upadły i wszystko
Chce już broń porzucać i pójść w rozprószenie;
Starszyzna coś radzi, a znaleźć nie może
Rady; w tém nas dziwne uderza zjawisko:
Dziewica z gęstwiny nagle wystąpiła,
Jak bogini wojny z szyszakiem na głowie;
Piękna, oraz straszna, włos w ciemne pierścienie
Wił się po jéj szyi, a tak przemówiła:
»Czego tu darmo stoicie Frankowie,
Wiara! na wroga! choć liczniejszy będzie
Niż piasek morski, niż rosa poranna,
Naprzód! Bóg z wami i Najświętsza panna!«
Wyrywa chorągiew z ręki chorażego,
I z nią naprzód prosto a bezpiecznie kroczy.
My, w niemym podziwie, chcąc i nie chcąc tego,
Idziem, gdzie chorągiew i jéj nosicielka,
I oślep na wrogów udérzamy w pędzie.
Oni z razu na to wytrzeszczywszy oczy
Osłupieli wryci. Wnet, jakby zesłanie
Boże na nich padło, w nogi — porzucają
Broń, zbroje, bez ładu; nic tam ni wołanie
Wodzów nie płużyło, ni komenda wszelka;
Nikt się nie ogląda, wszystko hurmem, w ścisku
Wali się do rzéki, i ludzie i konie —
Rzeź, nie bitwa! Bijem, odporu nie dają;
Dwa tysiące padło na pobojowisku
Oprócz potopionych; nikt, po naszéj stronie.

KAROL.
Dalibóg! to rzecz dziwna, osobliwa!

SORELA.
I takie dziwy sprawiła dziewica?
Z kąd, co za jedna?

RAUL.
Kto jest, to królowi
Samemu objawi; sama się nazywa
Wieszczką, prorokinią od Boga zesłaną;
Twierdzi, że Orlean przed zmianą księżyca
Odsiecze. Lud wierzy, wszyscy są gotowi
Bić się, ona z wojskiem ciągnie, wnet tu staną.

*(Słychać dźwięk dzwonów i szczęk broni.)*

Słyszycie okrzyki! oto biją w dzwony.
To ona! posłankę Bożą naród wita.

KAROL.
Tu ją wprowadzić!

*(do Arcybiskupa.)*

To nie do pojęcia!
Więc teraz właśnie, gdy jako rozbita,
Bóg mnie mógł zbawić tylko, dłoń dziewczęcia
Teraz wybawia! Mamże, mam biskupie
Wierzyć w cuda?

*(Głosy za sceną.)*
Chwała posłance nieba!
Chwała dziewicy! chwała!

---

*) Hrabia Diunoa, sławny w dziejach pod imieniem: bękarta Orleańskiego.

KAROL.

Otóż ona.

*(do Diunoa.)*

Diunoa, siadź tu, spróbować ją trzeba,
Jeźli od Boga zesłana, natchniona,
To mnie rozezna, chociaż w ludzi kupie.

*(Diunoa usiada, król stoi po prawéj stronie, przy nim Agnieszka Sorel; potém Arcybiskup z innymi naprzeciwko, tak, że środek próżny zostaje.)*

## Scena dziesiąta.

*(Johanna wchodzi otoczona wielą osobami.)*

DIUNOA.

*(po długiém uroczystém milczeniu.)*

Cudowna dziéwczyno —

JOHANNA.

*(przerywa mu mowę i z góry patrząc na niego.)*

Bękarcie! ty pana
Rusisz! wstań, to miejsce nie twoje.
Jam do wyższego, do tego przysłana.

*(Idzie wprost do króla i uklęka przed nim.)*

KAROL.

Piérwszy raz w życiu przed tobą stoję,
Z kąd ci ta wiedza?

JOHANNA.

Widziałam ciebie
Gdy nikt prócz Boga nie widział więcéj!
Wczorajszéj nocy — przypomniéj sobie,
Wszystko głęboko spało do koła,
Tyś wstał z pościeli, Bogu na niebie
Jałeś się modlić jak najgorecéj;
Każ niech ustąpią, a powiém tobie,
O coś się modlił.

KAROL.

Nie kryję zgoła
Przed ludźmi, co Bogu myśl powierzyła;
Jeźli mi powiész modlitwy méj wątek,
Nie będę wątpił, że cię Bóg przysyła.

JOHANNA.

O trzy się rzeczy Bogu modliłeś:
Najprzód — uważaj dobrze Delfinie!
Jeźli téj wojny klęski zesłane
Od wszechmocności boskiéj na karę
Za ciężkie nieodpokutowane
Pradziadów grzéchy; lub za ich wziątek
Jaki nieprawy — Boga prosiłeś,
By z ciebie przyjął za lud ofiarę,
I na twą głowę jedynie
Zlał gniewu swojego czarę.

KAROL. *(przelękniony cofa się.)*

Ktoś, z kąd? istoto dziwna, niepojęta!

JOHANNA.

Drugą prośbę niosłeś do nieba:
Jeźli taka wola jego święta,
Aby berło z twojego plemienia
Przeszło w cudze; jeźlić trzeba
Koniecznie stracić, co w téj krainie
Mieli królowie, twoi przodkowie,
Wyprosić sobie chciałeś jedynie
Trojakie dobro: spokój sumienia,
Przyjaciela i miłość Soreli.

*(Król zakrywa sobie twarz, głośno płacząc; wielkie poruszenie między przytomnymi. — Po przestanku.)*

Trzecią modlitwę mamże wyjawić?

KAROL.

Dość! wierzę, wierzę, od Bogaś zesłana,
Człek takich cudów niepotrafi sprawić!

ARCYBISKUP.

Cudowna dziewico! któż twoi ojcowie
Bogu mili? gdzież ta ziemia obiecana,
Z któréj idziesz? objaw, abyśmy wiedzieli!

JOHANNA.

Jestem Johanna przewielebny panie,
Ojciec mój chłop, ze wsi królewskiéj Domremi
A z parafii Tulskiéj; od młodum pasała
Dobytek ojcowski, i opowiadanie
O cudzych wyspiarzach częstom słuchiwała:
Że nas najechali gdzieś z zamorskiéj ziemi,
Że kraj zwojowali i pana obcego
Co ludu nie kocha sadzą na stolicę;
Że już wielkie miasto Paryż ubieżeli,
I w kraju się rządzą; — więc Bogarodzicę
Modliłam gorąco, by nieprzyjacieli
Naszych poniżyła, i przyrodzonego
Wróciła nam króla; a wchodząc do wioski
Naszéj, jest figura dawna Matki Boskiéj,
Dokąd lud pobożny chadza processyjami,
A obok dąb święty, wsławiony cudami,
A ja pod tym dębem radam siadywała
Pasąc trzodę, bo mnie serce tam nęciło,
I jak mi się jagnię pomiędzy górami,
Zabłąkało kiedy — skorom się zdrzymała
Pod tym dębem świętym, wnet mi się przyśniło.
Aż raz, kiedym się tam, snu nie dopuszczając
Gorącą modlitwą w późną noc zaciekła,
Przenajświętsza stanęła przedemną — trzymając
Szablę i chorągiew — a z resztą ubrana
Po wiejsku jako ja — i tak do mnie rzekła:
»Johanno! jam jest, wstań, porzuć trzody,
»Ku innéj sprawie pan ciebie woła:
»Weź te chorągiew, przypasz tę broń —
»Wrogów narodu mego dokoła
»Wytęp i syna twojego pana
»Prowadź do Rajmsu, przełam przeszkody,
»Koronę włóż mu na skroń.«
Ale jam rzekła: na takie dzieła
Ja słaba dziéwka jak się poważę
Nieświadoma w krwawéj potrzebie?
Ona mi na to: »Czysta dziéwica
»Byle ją ziemska miłość nie zajęła,
»Wszystkiego w świecie dokaże.
»Patrz na mnie, słaba jak ty dziéwczyna
»Boskiegom zrodziła syna,

»I sama króluję w niebie!« —
I dotknęła mego lica,
Pojrzałam w górę, a niebo było
Aniołów pełne, a liliję białą
Każdy miał w dłoni, i słodko, miło
Powietrze brzmiało.
I tak przez trzy noce przenajświętsza Panna,
Wciąż mi się jawiła, mówiąc: »Wstań Johanna,
»Ku innéj sprawie Pan woła ciebie!«
A czwartéj nocy już się gniewała
I z groźbą rzekła te słowa:
»Niewiasta słuchać powinna na ziemi,
»Jéj przeznaczeniem cierpienie,
»Tu oczyszczona posługi twardémi,
»Ta, co służyła, króluje w niebie.«
I wiejskie spadło odzienie,
I jako niebios królowa
W słonecznéj światłości stała,
I złotémi owiana chmury
Zwolna znikała do góry.

*(Wszyscy wzruszeni, Sorela twarz zakrywa.)*

---

*Johanna z Francuzami w nocy napadła na obóz angielski. Namioty palą się, rzeź, popłoch. Talbot z mieczem w ręku wychodzi na scenę wstrzymując uciekających.*

## Z Aktu II. Scena piąta.

TALBOT.

Nikt mnie ani słyszy; lecą bezprzytomnie,
Za nic wszelka karność, za nic posłuszeństwo,
Jakoby tu piekło wszystkie legijony
Potępionych duchów na nas wyrzygnęło,
Tchurz, nie tchurz na oślep leci jak szalony!
Nieprzyjaciel w obóz wciąż hurmem się tłoczy,
A tu ani roty by mu zajrzéć w oczy.
Czy jam tylko trzéźwy? a wszystko w koło mnie
W gorączce szaleje? uciekać przed nimi,
Przed niewieściuchami tymi francuzkimi,
Których w tylu bitwach szabla nasza starła?
Cóżto jest za jedna, ta niezwyciężona
Straszliwa bogini, która losem władnie,
Obraca nim jak chce — co łanie trwożliwe
Nagle w lwy zamienia! — sztuki wyuczona
Kuglarka! w rycerską larwę się oblekła.
Onażto ma straszyć rycerze prawdziwe?
Całą sławę moję kobiéta wydarła!

ŻOŁNIÉRZ. *(wpada.)*

Dziéwica! uciekaj wodzu!

TALBOT. *(zabija go.)*

Sam do piekła
Tchurzu uciekaj! — draby niepoczciwe,
Kto wspomnić ucieczkę, trupem z rąk mych
padnie.

*(odchodzi.)*

---

## TALAR PIĘCIO-FRANKOWY.

Północ minęła, już długo nowo-zaślubiona w małżeńskiéj komnacie czekała, gdy nakoniec młodemu małżonkowi powiodło się wyrwać z pośród swoich przyjaciół i opuścić salę balową. Tajnémi wschodami, na których nań służebna czekała, pospieszył do ukochanéj swéj małżonki.

Zapukał z lekka, drzwi się cicho odchyliły, a młody małżonek padł na kolana przed damą, która w bogatym, weselnym stroju, jako wdowa w nowy związek wchodząca, siedząc przy kominku, z utęsknieniem nań czekała.

»Wstań przyjacielu«, rzekła uprzejmie do swojego małżonka, wyciągając ku niemu białą, pulchną rączkę!

»O nie, dozwól mi szanowna, ubóstwiona małżonko«, odrzekł młody mężczyzna, i ucałował serdecznie wyciągniętą ku niemu rękę, »dozwól mi, niech u nóg twoich klęczę, i nie wzbraniaj mi swojéj ręki, bo się obawiam, iż to wszystko, co mię otacza, co się ze mną dzieje, jest tylko sen znikomy, że mię zmysły moje zwodzą, i że jestem bohatérem owych bajek czarodziejskich, których opowiadania niegdyś moje młodociane lata radością upajały!«

»Uspokój się drogi przyjacielu, wczoraj jeszcze byłam wdową po lordzie Melwill, teraz jestem panią de la Tour, twoją małżonką; spłosz z swojéj pamięci uroczą czarodziejkę twoich lat młodocianych, marzenia twoje w rzeczywistość się zamieniły!«

Frydéryk de la Tour miał niejaki powód do mniemania, iż jakaś nadziemska istota podjęła się uprzyjemnić i uszczęśliwić mu życie, gdyż od miesiąca nigdy niespodziéwane szczęście goniło za nim, i tém go wszystkiém okwicie obdarzyło, czego on tylko w rozkosznym śnie mógł zażądać. Frydéryk miał lat dwadzieścia i pięć, i wcześnie pozbawiony rodziców, utrzymywał się bardzo oszczędnie z dochodu, jaki na podrzędnéj posadzie w ministeryjum spraw wewnętrznych pobiérał. Przechodząc jednego razu przez ulicę *Saint-Honoré,* nagle zatrzymał się przed nim bogaty ekwipaż, a młoda dama wychyliwszy się z powozu, zawołała nań uprzejmym głosem. Na to wezwanie skoczył czémprędzéj strzelec z kozła, i otworzywszy drzwiczki pojazdu, zaprosił młodego mężczyznę z uszanowaniem, by zajął miejsce obok damy; skoro Frydéryk wsiadł do powozu, już konie pognały co mogły wyskoczyć.

»Mój panie«, rzekła dama, która w ten sposób go uwiozła, łagodnym głosem: »otrzymałam list wpana; jednakże pomimo jego wymówki

spodziéwam się, że go jutro wieczór u siebie na *soirée* widzieć będę.«

»Jako? mnie, łaskawa pani?...«

»Tak jest, mój panie, wpana... Ach! przebacz wpan«, rzekła zarazem zdziwiona, »przebacz; co za omyłka! wpan jesteś, do jednego pana, który u mnie często bywa, tak bardzo podobny, żem go w prędkości za niego miała... Ach, bardzo proszę o przebaczenie; cóż sobie o mnie pomyślisz... ale podobieństwo jest tak uderzające, iżby każdego omylić mogło.« Zanim jeszcze tę wymówkę skończyła, już powóz wjechał na dziedziniec i zatrzymał się przed bardzo pięknym domem, a Fryderykowi nic innego nie pozostało, jak tylko podać lady swą rękę. Lady Mevill miała tylko po mężu to angielskie nazwisko; była ona rodowitą Francuzką i jedną z najpiękniejszych kobiét w Paryżu; jéj oczy przemawiały najczystszém uczuciem, na jéj twarzy mieszkał powab zniewalający, jéj usta wyrażały się roztropnie i ujmująco.

Fryderyk urokiem tych wdzięków zachwycony, błogosławił swoję szczęśliwą gwiazdę, która mu z tak piękną niewiastą znajomość zabrać dozwoliła. Lady była dla niego bardzo uprzejma, i nie minęło dni kilka, a już należał do owych gości, których imiona odźwierny najczęściéj pani swojéj oznajmiał. Rój wielbicieli otaczał młodą i bogatą wdowę, jednakże nie potrwało długo, a jeden po drugim postrzegłszy na co się zanosi, uchylił się nieznacznie. Jeden tylko Fryderyk tak śpieszno postępował w jéj łasce, i tak umiał sobie pozyskać jéj względy, iż nie minęło kilka tygodni, a już z nią w bardzo ścisłe przyjaźni wszedł związki. Lady sama na tę myśl go nawiodła, iż sobie życzy, aby mu swoję oddała rękę.

Fryderyk mniemał jeszcze zawsze, że szczęście jego nie było na jawie, i obawiał się podobnie, jak ów we śnie marzący, którego śród rozkosznych obrazów ta niespokojność udręcza, iż wszystkie błogie widziadła z ocknieniem się jego w nicość uleca. Urzędnik i proboszcz przybyli dla potwierdzenia i pobłogosławienia związku jego z lady Melvill; ale ani obrządek religijny ani ustawa krajowa, nie zdołały wątpliwości jego końca położyć. Zawsze on jeszcze klęcząc u nóg swojéj małżonki, trzymał za koniec bogato haftowanéj sukni, jak gdyby ów piękny sen zatrzymać się starał, który wkrótce przed nim miał ulecieć z całą swoją złudą.

»Ale nie bądźże dzieckiem Fryderyku«, rzekła do niego żona powtórnie, »wstań i usiądź przy moim boku, opowiem ci pewien wypadek — Jednego razu była....«

»Ach, mój Boże! »rzekł Fryderyk«, »więc ja się przecież nie mylę, i wszystko co mnie spotkało, jest tylko bajką czarodziejną!«—

»Ależ słuchaj mię spokojnie: Jednego razu była pewna młoda dziéwczyna, któréj rodzice byli wprawdzie majętni, ale niestety, nim jeszcze dziéwczyna lat piętnastu dorosła, w tak wielkie ubóstwo popadli, iż się tylko z tego utrzymywać musieli, co ojciec w pocie czoła zarobił. Mieszkali oni pierwéj w Lugdunie, i nie wiadomo mi, z jakiego powodu późniéj do Paryża się przenieśli. Nic nié masz trudniejszego na świecie, jak odzyskanie utraconego majątku, i wyjednanie sobie znowu pośród towarzystwa posady, którąśmy opuścić przymuszeni zostali. Z boleścią serca doznał téj prawdy ojciec młodéj dziéwczyny, przez cztéry lata staczał on smutną walkę z ubóstwem, nakoniec umarł w szpitalu.«

»Niezadługo i matka wstąpiła za nim do grobu, a córka została sama jedna w izdebce pod strychem, za którą nawet czynsz nie był zapłacony... Nie miała ona ani krewnych, ani przyjaciół, ani jednéj czułéj duszy, którаby się za nią ujęła, a w Lugdunie zostały jeszcze po rodzicach długi, których na żaden sposób spłacić nie mogła; nadaremnie udawała się do nieznajomych osób po robotę, tego jedynego bogactwa dla biédnych! Prawda, iż występek chciał jéj podać pomocną rękę, ale są dusze tak czysto niewinne, które nie wiedząc o tém, omijają sieci występku, a przynajmniéj tak są szczęśliwe, że zaraźliwym tchem jego ozionionémi nie zostają. A jednak biédna dziéwczyna ta musiała utrzymać życie swoje; głód dojmujący przez dzień cały, wzmagał się pod wieczór jeszcze bardziéj, noc przemijała bez snu, a ranek szarpał głodem jéj wnętrzności; by nie uledz jego przemocy, biédna dziéwczyna mimo wstydu i odrazy zniewolona była—pójść na żebry. Osłoniwszy się chustką, która jéj pozostała po matce, udając zgrzybiałą, wiekiem pochyloną staruszkę, wyszła na ulicę.«

»Na jednym rogu, opodal od latarni, która na około bladém światłem rzucała, stanęła biédna siérota; a ujrzawszy jaką przechodzącą szczęśliwszą od niéj dziéwczynę, wyciągała ku niéj rękę i błagała o jałmużnę: »tylko o jeden *sous* proszę; tylko o jeden *sous*, abym sobie chleba kupić mogła!« Ale przechodzące dziéwczyny były szczęśliwe i nie uważały wcale na umierającą z głodu żebraczkę! Gdy się zbliżył jaki starzec, żebraczka wyciągnęła i ku niemu swą rękę i prosiła go o jałmużnę, ale stary wiek czyni człowieka twardym, samolubnym, a tak i starcy mijali siérotę, żadnego jéj podarku nie dawszy. A noc się coraz bardziéj ściemniała,

patrole, stróże nocni, sierżanci miejscy snuli się po ulicy; biédna siérota walczyła już ostatniémi siłami z głodem i osłabieniem; jeszcze raz wyciągnęła z prośbą swą rękę; tą razą byłto jakiś młody mężczyzna, który postrzegłszy wyciągniętą ku niemu rękę, zatrzymał się i sięgnąwszy do kieszeni, rzucił jéj pieniądz, jak gdyby z obawy, aby się jéj swoją ręką nie dotknął. Aż oto téjże saméj chwili wyskoczył z za domu jakiś człowiek, który już dawno skrycie na żebraczkę czatował, i wziąwszy ją silnie za ramię rzekł: »Przecięż raz cię na uczynku schwyciłem, ty żebrzesz na ulicy; ruszaj do więzienia!«

»Wtedy z żywością ujął się za żebraczką młody mężczyzna, i wziąwszy ją za rękę, któréj wprzódy nawet w rękawiczkach dotknąć się nie chciał, zwrócił się do policyjanta i rzekł: »Ta kobiéta nie jest żebraczką, ja znam ją...«

»Poczciwa kobiéto«, rzekł potém pocichu do młodéj dziéwczyny, którą miał za staruszkę, »oto masz pieniądz pięcio-frankowy, i pozwól mi zaprowadzić cię aż przed twoje mieszkanie.«

»Wtenczasto drogi przyjacielu mój, wsunąłeś mi do ręki talara«, opowiadała daléj Lady Melvill, »a gdyś mię prowadził po przed latarnię, któréj aż dotąd unikałam, przypatrzyłam się twarzy twojéj...«

»*Tyś* mi się przypatrzyła? i *tyżeśto* była...?« ozwał się Frydéryk zdziwiony.

»Tak jest, luby mój mężu, jamto była, któréjś podówczas życie a może i honor uratował; téjże saméj lady Melvill, którą od dziś dnia na wieki będzie twoją, dałeś w jałmużnie talara.«

»Jako? tobie! tak młodéj, tak majętnéj, tak pięknéj i szlachetnéj... i tyżbyśto o jałmużnę prosić musiała?«

»Nie inaczéj, przyjęłam jałmużnę, i tylko tę jednę a żadnéj więcéj. Nazajutrz po owym strasznym dniu, który teraz w poczet najszczęśliwszych życia mego liczę, pewna stara sąsiadka, w któréj obudziłam politowanie, wystarała się dla mnie w pewnym znacznym domu miejsce garderobiany. Wkrótce zostałam przyjaciółką zacnéj znakomitéj kobiéty, u któréj pracowałam. Pewnego razu lord Melwill wstąpił do garderoby, w któréj zwykle szyciem się zajmowałam i usiadł przy mnie. »Mościa panno«, rzekł do mnie, »wiadomy mi jest wypadek wpanny, czy chcesz wpanna pójść za mnie?«

»Milordzie, jażbym miała tę śmiałość i pomyślić o tém!« odrzekłam zdziwiona.

»Jestem bardzo majętny, ale nie chcę majątku mego pozostawić niewdzięcznym siostrzeńcom, którzy tylko na moję śmierć czekają; jestem cierpiący na podagrę i nie chcę poruczać się litości chciwych zysku służalców. Jeżeli to jest istotną prawdą, co mi o wpannie opowiadano, więc mogę być pewnym, że jesteś zacną i kochania godną dziéwczyną. Jedynie od wpanny zależy zostać panią Melvill, i świat przekonać, że tak jesteś godna szczęścia, jak przedtém nieszczęście odważnie znosić umiałaś.«

»Szczęśliwy lord Melvill«, przerwał Frydéryk jéj mowę, »on mógł u nóg twoich złożyć bogactwa!«

»Był on w saméj istocie szczęśliwym«, opowiadała pani de la Tour daléj: »Słusznie się spodziéwał, że wdzięczność zapewni mu przywiązanie małżonki, która mu całe swoje szczęście winna była.«

»Oddałam moję rękę szlachetnemu lordowi, i w podziękę za wszelkie dobrodziejstwa, któremi mnie obsypał, pielęgnowałam z największą starannością ostatnie dni jego życia. Zacny lord umiérając, zapisał mi testamentem cały swój majątek, ale ja złożyłam świętą przysięgę, że nigdy w powtórne nie wejdę związki, jak tylko z tym szlachetnym mężem, który mi w najokropniejszéj chwili życia mego, pomocną podał rękę.«

To rzekłszy zdjęła z swéj szyi przepyszny złoty łańcuszek, a z medalijonu bogato klejnotami ozdobionego, który do łańcuszka był przymocowany, wyjęła talar pięcio-frankowy. »Oto jest ten sam, który mi podówczas darowałeś«, rzekła i oddała go swojemu małżonkowi.

»Gospodarstwo moi, ujrzawszy w moim ręku pieniądze, dali mi owego wieczora na kredyt chleba, o którym aż do drugiego dnia przeżyłam. Nazajutrz los mój zaczął już brać obrót pomyślniejszy, tak dalece, żem już talar twój przy sobie zatrzymać mogła; odtąd nigdym się z nim nie rozstawała. Ach, jakież było uszczęśliwienie moje, gdym przed miesiącem znowu cię poznała; natychmiast kazałam zatrzymać konie; użyłam na prędce pierwszéj lepszéj wymówki, jaka mi tylko na myśl wpadła. Jedna tylko myśl, ach, jedna niepokoiła mnie srodze — obawiałam się, ażaliś już nie ożenionym!«

Frydéryk rozrzewniony, trzymając w ręku talar czarodziejski, zdawał się myślą ulatać w owe krainy, w których bogowie do śmiertelnych zstępują!

»Widzisz kochanku«, uśmiéchnęła się doń małżonka, »że ja nie jestem czarodziejką, ale ty dałeś mi talizman, który nam obojgu błogą przyszłość zapewni!«

PRZEPIS ZAPOBIEGAJĄCY

## DRĘCZENIU ŹWIÉRZĄT.

Książę w Szwarcburg-Sondershausen wydał témi czasy pod względem zapobieżenia dręczeniu źwiérząt następujące rozporządzenie: »Günther Frydéryk Karol, z łaski Bożéj książę w Szwarcburg-Sondershausen. Jak niewątpliwą jest rzeczą, iż wielka część źwiérząt na rozmaity sposób dla pożytku człowieka jest przeznaczona, i że człowiekowi takowych do swoich zamiarów używać wolno, tak też uniewinnić nie można, a nawet oburzającą jest rzeczą, gdy widzimy, iż w niektórych miejscach ludzie srogo się z źwiérzętami obchodzą, któreto obchodzenie się nietylko, że człowieka godność poniża, ale nawet przekracza granicę prawa jego własności, a przeto niecierpianém ale raczéj surowo zakazaném i ukaraném być zasługuje. Najskuteczniejszy środek zapobieżenia takowym nadużyciom, zależy bezprzecznie na wychowaniu młodzieży i publicznem udziélaniu nauki; wzywam przeto wszystkie konsystorze moje do czuwania nad tém, aby w szkołach mojego kraju dokładnie przedmiot ten młodzieży wyświécano, i wyobrażenia jéj w téj mierze prostowano, a mianowicie, aby jéj przyzwoitą nauką w pamięć wbijano, że człowiek wprawdzie z źwiérząt i z ich sił pożytek ciągnąć i pod tym względem, w miarę jak mu niebezpieczeństwem lub uszkodzeniem grożą, nawet zabić je może, ale wcale nie ma prawa do zatruwania im śmierci niegodziwémi udręczeniami, albo odbiérania im życia swawolą, i że sama ludzkość szczególniejsza na człowieka wkłada powinność, aby się pieczołowicie i względnie z domowémi źwiérzętami obchodził, nie zaś, aby głodem, smaganiem i nieludzkiém obchodzeniem się przynaglał je do pracy, która ich siły przechodzi. Wczesne w téj mierze zaszczepianie prawych uczuć w serce młodzieży, tém potrzebniejszém i zbawienném się okazuje, ileże przezto zapobiédz można, by młodzież przez swawolne dręczenie i smaganie źwiérząt, swego własnego serca nie zatwardzała, a tém samém, by uczucia swego na nieszczęścia cierpiącéj ludzkości nie stępiała. Z tego względu jestem spowodowany włożyć także na rodziców, opiekunów i nauczycieli nieodzowną powinność, przykładania się wszelkiémi sposobami, aby ten cel pod względem młodzieży, która ich dozorowi i pieczy jest powierzona, jak najsumienniéj na oku miano, i ile możności osiągnąć się starano. W wielu krajach zawiązały się towarzystwa dla zabieżenia różnémi sposobami temu, nasz wiek poniżającemu obchodzeniu się z źwiérzętami, jakoż z przyjemnością dowiedziałbym się, gdyby w moim kraju podobne towarzystwo do skutku przywiedzioném zostało, któremubym najchętniéj nietylko mojéj opieki ale nawet wsparcia udzielił. Z tém wszystkiém dla zapobieżenia dręczeniu źwiérząt, także w drodze ustawodawczéj stanowię niniejszém: I., iż każdy, który jakie źwiérzę umyślnie, bądź takowe jest albo nie jest jego własnością, 1) niezwyczajnym, i oraz więcéj niż potrzeba, bolesnym sposobem zabija; albo 2) jeżeli nie idąc zwyczajną, powolną drogą do osiągnienia swych zamiarów boleści, lub męczarnie mu zadaje; 3) albo też, nawet w pozwolonym zamiarze, boleści jego niepotrzebnie pomnaża; 4) kto takowe ujmowaniem potrzebnéj do jego bytu żywności dręczy; 5) kto je niezgodnie z jego naturą i nad jego siły srogiém obejściem się do osiągnienia swoich celów przynagla; takowy o dręczenie źwiérząt obwinionym i sześcio-tygodniowém więzieniem, a według okoliczności nawet stósowną karą pieniężną dotkniętym zostanie. II. Przy dopuszczeniu się tego niegodziwego uczynku, stopień udowodnionéj złośliwości albo i moralnego zepsucia i jakość wyrządzonéj źwiérzęciu męczarni, stanowić mają najgłówniejszą miarę w wyznaczeniu kary. — III. W razie kilkakrotnego dopuszczenia się tego bezprawia, względem zaostrzenia kary powszechnie w téj mierze przyjęte zasady zastósowane być mają. — IV. Rodziców, opiekunów albo nauczycieli tych osób, które się udręczenia źwiérząt dopuszczą, jeżeli takowi o tém bezprawiu wiedzieli, a przeszkodzić mu nie usiłowali, jako spółuczestników bezprawia do odpowiedzialności pod karę pociągnąć należy. — V. Nadmienione kary pieniężne wpływać mają do funduszu siérot i wdów tegoż obwodu, gdzie wykroczenie zaszło. Spodziéwam się, iż rządowe władze kraju mojego wydadzą przynależne rozporządzenia, aby powyższe karą oznaczone czynności, wcześnie doniesione i sądowi pod rozpoznanie oddawane były, tudzież, że nad wykonywaniem tego przepisu czuwać i takowy zwyczajną drogą do wiadomości publicznéj podawać będą.«

Sondershausen dnia 5go marca 1840.

Günther, Frydéryk Karol,
książę w Szwarcburg-Sondershausen.

ZE LWOWA.

*Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 28. i obejmuje: 1) O ziemiorodztwie galicyjskich gór karpackich. (Ciąg dalszy). 2) O moczeniu lnu i konopi. (Dokończenie.) 3) Wiadomości czasowe.

Drugi rok *Lwowianina*, pisma krajowego, wydawanego w połączeniu prac miłośników nauk, rozpoczął się zeszytem piérwszym, wyszłym dnia 1. b. m.

Otrzymujemy właśnie czasopismo teologiczne: *Przyjaciel chrześcijańskiéj prawdy*. Rocznik VII. Zeszyt I. II. III. i IV. w Przemyślu r. 1839. Zawiéra w cało-rocznym zbiorze następujące artykuły: Rozprawa o potrzebie objawienia Boskiego.—O wpływie, jaki mają karczmy, austeryje, szynki, karczmarze i szynkarze.—Czego dziś więcéj pragnąć w pasterzach dusz należy.—Żywot Fenelona.—Starożytności kościelne.—Apologia, czyli obrona piérwsza Chrześcijan przez św. Justyna, filozofa i męczennika.—Literatura, rozmaitości i dalszy ciąg historyi kapituły metropolitalnej lwowskiéj, ciągnie się przez wszystkie cztéry zeszyty.—Słów kilka o szkodliwych skutkach romansów, dla młodszych nadewszystko osób, płci osobliwie drugiéj.—Zkąd to pochodzi, że w piérwszych wiekach miał kościół więcéj prawdziwie zacnych kapłanów?—Zaś całe to pismo z roku 1839, zakończa się Nekrologiem ś. p. Jks. Michała Korczyńskiego biskupa przemyskiego ob. łac. *A..*

Z Wilna: *Obraz biblijograficzno-historyczny literatury i nauk w Polszcze* wystawiony przez Adama Jochera, w zeszycie czwartym (od str. 267—378) zawiera ciąg dalszy nauk razem wziętych, dziejów oświécenia, szkół; pisma peryjodyczne, zbiory, polygrafie, wreszcie noty do oddziału drugiego. Zeszyt piąty wkrótce nastąpi i koniec not do tegoż oddziału, przytem ogólny rzut oka na cel i plan dzieła zawiérać będzie.

Z Poznania. W czasie kontraktów święto-jańskich przyjezdne towarzystwo pana Raszewskiego bawi Poznań przedstawieniami dramatycznémi w języku polskim, ponieważ ta stolica Wielkiego Księztwa nie ma dotąd stałego polskiego teatru.

Radziwiłłowie. W XVIII wieku liczono pięćdziesiąt sześć familij polskich, połączonych z Radziwiłłami przez małżeństwa, to jest weszłych do domu, a wyszłych księżniczek trzydzieści siedm. Koligacyje zaś przez Teresę Kunegundę Sobieską z domem bawarskim, przez Klementynę Sobieską ze Stuartami, przez Leszczyńską z Bourbonami: hiszpańskiémi, francuzkiémi i sycylijskiémi; przez Elżbiétę księcia Jana Radziwiłła żonę z domem brandeburskim, a także przez księżnę Karolinę Bogusława koniuszego W. Ks. Lit. żonę przez tychże z książętami palatynami Renu i książętami Bipontu, przez Sobieską z książętami de Bouillon, de Luxembourg, de Rohan, de Soubise, margrabiami de Bethune, we Włoszech z familiją książąt Strozzich, w Saxonii z książętami Anhalt Dessau. Do roku 1747 piętnastu hetmanów liczyła ta familija, to jest: 7 polnych, 8 wielkich; wojewodów wileńskich 10, trockich 5, nowogrodzkich 5, brzeskiego jednego, kijewskiego jednego; kasztelanów wileńskich 7, trockich 5, starostów żmudzkich 4; marszałków wielkich 5, nadwornych 5; kanclerzy wielkich 8, podkanclérzy 5; biskupów 3, kardynała jednego (w końcu XVI. wieku), który, jak piszą, mógłby był nawet zostać papieżem, gdyby mu król był dopomógł. Solikowski Duninom i Radziwiłłom przyznaje zakład więcéj niż 300 kościołów w Polszcze i Litwie. (*Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy p. J. J. Kraszewskiego t. 1. str.* 229—230.)

Jean Polonius. Do nowszych liryków francuzkich, dosyć szczęśliwie obok sławnych nazwisk doświadczających sił swoich, należy Jean Polonius, który niedawno wydał większy z pochwałami przyjęty poemat, pod tytułem: *Herostrat**), podczas gdy dawniéj już, a zwłaszcza od roku 1827, znaliśmy kilka tomów razem zebranych poezyj lirycznych tegoż autora. Występującego dotąd pod przybraném nazwiskiem poetę, chociaż nie miano za potomka owego sławnego dworzanina téjże nazwy w Hamlecie, uważano go jednak za jednego z tych synów Polski, którzy we Francyi schronienie znaleźli. Z wyszłego właśnie *Herostrata* pokazuje się teraz, że poeta pochodzi wprawdzie z polskiego rodu, ale jest umieszczony przy wydziale spraw zagranicznych w Petersburgu, a dawniéj był czas niejaki radzcą przy rossyjskiém poselstwie w Londynie. Prawdziwe jego nazwisko jest X. Łabiński. Na wszelki przypadek nie jest to zaiste małém wyszczególnieniem, będąc cudzoziemcem zjednać sobie tak jak pan Łabiński prawo obywatelstwa na parnasie francuzkim i słusznie krytyk francuzki pan Sainte Beuve może o nim te słowa powiedzieć: »Cudzoziemcy piszący naszym językiem, chociażby bardzo daleko w nim zaszli, są zawsze w przykrém położeniu. Największa ich sława zasadza się w końcu na tém, że każą nam zapomnieć, iż są cudzoziemcami. U p. Łabińskiego zupełnie się o tém zapomina. Aleź cudzoziemcy mówiący tak dobrze po francuzku jak najlepsi Francuzi, mająż oni własny swój język, jakiego od poety i zgoła od każdego oryginalnego pisarza wymagać się powinno? Jean Polonius pisze jak Francuz krajowiec, najnowszym poetycznym sposobem, wzorem Lamartina, ale własnego piętna, własnego twórczego ducha, tego w nim nie znajdujemy.«—Spostrzeżenie to francuzkiego krytyka, ma bardzo naturalny powód: człowiek tylko w ojczystéj mowie uczy się gruntownie myślić i własne wyrażać uczucia. Im więcéj językami mówimy w równym czasie od piérwszych lat dziecinnych, tém późniéj uczymy się używać jednego z tych języków z wszelką właściwą mu głębokością myśli. Być może, iż w wychowaniu dziecka wiele przez to czasu się oszczędza, gdy je razem w pięciu językach wychowujemy; lecz mu przez to zabiéramy całkiem ową wielką korzyść, iż nie będzie umiéć porównywać filozoficznéj budowy różnych języków, i że się ich ucząc, w same tylko słowa, ale nie w myśli bogatém zostanie. Co się tu o myśleniu w ogólności powiedziało, tém bardziéj da się zastosować do twórczości poetycznéj. Niech więc każdy cudzoziemiec, czujący w sobie talent poezyjny, posłucha rady pana Sainte Beuve, i tworzy poezyje tylko w swym własnym, rodzimym języku. Wyrazy francuzkie cały świat rozumié, lecz wyrazy poety, w ich zupełnem znaczeniu, zrozumié tylko własna jego ojczyzna.

(*Magazin für die Literatur des Auslandes.*)

Panna Rachel jako wzór dla aktorek. Gdybyś piérwszy raz widział pannę Rachel, sądziłbyś, że ona wcale nie jest aktorką, tak dalece sztukę przemieniła w naturę. Deklamacyja jéj jest tylko wyrazem najczystszych uczuć, tak skromną, tak cichą i ujmującą, iż się zdaje, że to nie aktorka, lecz tylko rozmawiająca osoba jest na scenie. Ciekawy jestem, z kąd się tego wszystkiego nauczyła? — Wyobraź sobie smukłą, lecz niewielkiego wzrostu osobę, mającą wzniosłe czoło, małe, wklęsłe, lecz bystre oczy, nos spiczaty, mocno wcięte usta, i długie, długie ramiona; słowem wyobraź sobie postać podobną do klasycznego posągu. Postać ta rusza się niekiedy, lecz takiémi jestami, które znawca za najwyższy wyraz kunsztu uważa, a o którym ona bynajmniéj nie wié; przeciwnie zaś serce jéj porusza się za piérwszém tchnieniem słowa. Gdy przyjdzie kolej mowienia do niéj, postać ta słucha i słyszy z wewnętrzną uwagą, którąto uwagę dokładnie po zewnętrznych jéj zmysłach poznajesz, czyli innémi słowy, oto widzisz ją, że słyszy i słyszysz że widzi, na-

*) Erostrate. Paris. Charles Gosselin. 1840.

koniec gdy jéj przyjdzie kilka wierszy wygłosić, wtedy każda samogłoska leje się w jéj ustach i staje się czcionką; a gdy wiérsz ukończy, widzisz go wydrukowany przed swojémi oczyma. Słuchając wierszów następnych, widzisz jeszcze wyraźnie wiérsze poprzednicze; niémasz tam żadnych wybrednych przycisków, żadnych ozdób, żadnych w arabeski zakrętów, lecz czysty, zaokrągiony, ale czarny, wybitny druk głosek *kursywą* zwanych, w których znowu najpiękniejsze rzeczy czytasz, a żadną miarą wyjaśnić sobie nie możesz, w jaki się sposób to dzieje. Jednakże wiérsz ostatni różni się zawsze od pierwszego, jest on albo mniejszym albo większym charakterem wydrukowany, żywiéj albo ułamkowo wymówiony; otóż masz plastyczny obraz deklamacyi panny Rachel. Atoli jeszcze drugi szczegół zostaje, trudniejszy do odmalowania, to jest muzyka jéj wyrazu; wypadłoby więc, abym był wielkim muzykiem, zwłaszcza, iż wygłaszana poezyja w ogólności wszystkie kunszty w sobie jednoczy. Wznoszenie się i spadanie głosu w jéj organie jest z nauką wypracowane, chociaż naturalne. Nieraz robi ona skok z jednéj ostateczności w drugą tak w tonie jakoteż w jestach, chociaż nigdy z granic nie wychodzi; nigdy ona nie krzyczy, ruch jéj nigdy nie jest excentryczny, chociaż częstokroć żywy, i taki, iż się zdaje, jak gdyby ramiona jéj poruszały się kunsztowną mechaniką, którą największy artysta jestów wynalazł. Nie stopniuje ona swych uczuć na wzór aktorów zwyczajnych, nie zaczyna niskim głosem i nie urywa go w wysokości, lecz zaczyna średnim, stopniuje do połowy, i w dwójnasób spada; po jéj mówieniu poznać, że się niegdyś śpiewać uczyła, czego z resztą od każdéj aktorki tu wymagają, a co zawsze bardzo wielki efekt sprawia, zwłaszcza w trajedyi francuzkiéj, w któréj wszystko na wygłaszaniu spoczywa; gniew jéj jest estetyczny, od niechcenia, podobny do gniewu człowieka, który mówi: to niewarto mojego gniewu; jakoż nieraz się zdarzyło, iż niejeden aktor, który jéj miał odpowiedzieć w podobnej chwili, zmięszał się i sam nie wiedział, jak się znaleźć w swéj roli, co się mianowicie panu Ligier wydarzyło; nakoniec mdła dziéwczyna ta, gdy się rozsroży, staje się o całą głowę wyższą, co z ukośnéj postawy jéj wynika. Utrzymywano z początku, że ona do czułych i tkliwych scen nie jest zdatną, atoli w najnowszéj roli jako Paulina w *Polieukcie,* grą swoją zbiła to zdanie; w roli kochanki zdaje się ona zupełnie być obojętną, i nie tak żywą, jakiémi zwyczajnie są Francuzki; to się nie podobało z razu, ale panna Rachel wie, dla czego to czyni: zrzéka się ona siebie samej i nie goni za podziwem, i często z dzikiéj tygrysicy, staje się nagle najpotulniejszą owieczką. Niektórzy są tego zdania, iż rezygnacyja jéj wypływa z hebrajskiego jéj charakteru, co może być i prawdą. Panna Rachel gdy nie jest w teatrze, zamyka się na całe przedpołudnie, i uczy się w łóżku, poczém tylko dla rodziny żyje. Niémasz posłuszniejszych dzieci nad pannę Rachel, chociaż rodzice jéj nie mają żadnego wychowania; niedawno zapytała ją pewna osoba: na czém ona szczęście swoje zakłada, będąc tak powszechnie wielbioną; na co odrzekła: na tém, że się jéj rodzice po niéj tego doczekali; to mówiąc rzuciła się swojéj matce na szyję i z radości głośno się rozpłakała. Taką jest panna Rachel.

Zwycięztwo Wellingtona. Tak się nazywa dramat, który niedawno w teatrze *Cirque olimpique* w Londynie przedstawiono. Gdy nadeszła scena, w któréj Napoleon otoczony swoją dawną gwardyją wystąpił, całe zgromadzenie powstało i jednogłośnie zawołano: »Mości panowie, kapelusze z głowy!«

Oburzające okrucieństwo. Na rzékach Afryki wschodniéj przy wybrzeżach Mozambiku, tameczne osady portugalskie prowadzą tak wielki handel niewolnikami, jak mieszkańcy Afryki zachodniéj. W ciągu roku 1839 wywieziono tylko z jednego portu Quillimance 12,000 niewolników. Korsarzom angielskim powiedzie się czasem schwycić jaki okręt z niewolnikami, atoli do zupełnego utłumienia tego ohydnego zarobku, nie są oni bynajmniéj dostateczni. Pisma publiczne donoszą o następującém okrucieństwie, wynikającém z tegoż handlu: Do Mozambiku zawinął bryg z dwiestą niewolnikami. Miał on pierwiastkowo 900 Murzynów na swym pokładzie. Atoli w czasie burzy, pozamykano otwory, a gdy takowa ucichła i luki znowu pootwierano, pokazało się, iż 300 Murzynów, częścią się udusiło, częścią z głodu pomarło. Orkan na nowo srożyć się zaczął, pozamykano luki powtórnie, i tym sposobem zginęło drugich trzysta Murzynów; z pozostałych jeszcze trzechset umarło 100 w podróży do Mozambiku, gdzie nadmieniony bryg, nowy zasób niewolników na pokład nabrał.

Testament Paganiniego. Ostatnią wolę swoję napisał Paganini w Genui jeszcze w roku 1837 i od tego czasu już jéj nie zmienił. Okazał on w tym testamencie bardzo religijny sposób myślenia i przeznaczył tamecznemu zakonowi księży Kapucynów znaczną summę, jako ofertę na mszę świętą. Dla dwóch żyjących sióstr zapisał nieboszczyk jednéj 60, a drugiéj 70,000 franków raz na zawsze; matce swojéj, równie jak i matce przybranego swojego syna i uniwersalnego spadkobiercy, zapisał każdéj po 1200 franków rocznéj pensyi. Całą od trzech do czterech milijonów franków wynoszącą puściznę, wyjąwszy kilka pomniejszych zapisów, odkazał swemu przybranemu synowi pod tym warunkiem, aby z nabytéj niedawno przez Paganiniego za 1,500,000 fr. majętności Gajony, niedaleko Genui, majorat założono. Opiekunem zupełnego spadkobiercy, mianował w swym testamencie margrabiego Fallotę w Genui. Ośmioro skrzypców zapisał na pamiątkę ośmiu obecnie żyjącym, najsławniejszym wirtuozom na skrzypcach. Fetis w Bruxeli ma w téj mierze rozstrzygnąć. Lisztowi przeznaczył pierścień brylantowy, który od króla Francuzów otrzymał, a Beriotowi śpilkę brylantami wysadzaną, którą wielki ten wirtuoz otrzymał w podarunku od cesarzowéj rossyjskiej, gdy podczas jéj bytności grał w Berlinie. Trzéj kupcy paryzcy prowadzący handel muzykalijami, dawali opiekunowi młodego Paganiniego za muzyczną puściznę jego ojca 50,000 franków, za szkołę na skrzypce, któréj ten nieśmiertelny mistrz jeszcze nawet nie ukończył: 60,000 franków.

Świat literacki w Paryżu jest obecnie bardzo ciekawy, kto też przez śmierć Lemerciera opróżnioną posadę w akademii umiejętności otrzyma. Nie wiadomo jeszcze z pewnością, azali pan Bonjour znowu się jako kandydat zgłosi. Przy poprzedniém ubieganiu się jego o tęż posadę, opowiadano następującą anegdotę: «Pan Bonjour udaje się do pewnego sławnego akademika i dzwoni; po chwili wychodzi pokojówka i pyta: »Nazwisko pana?« — Kandydat z wdzięcznym uśmiechem odpowiada: »Bonjour.« Dziéwczyna, któréj się podobała ta grzeczność, odrzekła: »*Bon jour Monsieur*; chciéjże mi pan powiedzieć swe nazwisko.« — »Bonjour.« — »*Bon jour Monsieur*; ależ kogo mam oznajmić?« — Teraz dopiero domyślił się kandydat co jest przyczyną tego nieporozumienia i oświadczył, że Bonjour jest nazwisko jego.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA